

## Rozdział 1

Do domu ze szpitala wypuszczono go trzy tygodnie po pogrzebie, w którym oczywiście nie uczestniczył. W drodze powrotnej samochód prowadziła matka. Do tej pory nawet nie wiedział, że miała prawo jazdy. Dotąd wszędzie jeździła na rowerze, a ich drugie auto, najzwyczajniejszy w świecie, dziesięcioletni Passat, było do użytku dziadków. Oprócz Volkswagena w ich garażu stał także pick-up ojca. Właśnie przez to wielkie bydło, jak nazywała Toyotę Tundrę matka, nie mogli urządzić tam sobie pralni. Teraz nic nie stało na przeszkodzie, ponieważ nie było już ani samochodu, ani jego upartego właściciela, który nie chciał nawet słyszeć o rozbudowie garażu.

Toyota skończyła na złomowisku, a ojciec... Ojciec był teraz trzy metry pod ziemią. Ryan zacisnął usta i przełknął ślinę. Odwrócił głowę w stronę drzwi, aby matka nie widziała, jak do oczu napływają mu łzy. Nie potrzebowała więcej problemów. A nawet nie lubił tego człowieka, przemknęło mu przez myśl. Źle, on go nawet nie znał.

Ojciec większość życia przepracował jako górnik w odkrywkowej kopalni złota. Ryan nie był nawet pewien, czy mężczyzna skończył jakąś szkołę. Był prostym jak cep, twardym gościem, który niedziele spędzał na bluzganiu do telewizora, na ekranie którego biegali futboliści, picciu piwa i obżeraniu się tłustym żarciem. Ryan zawsze uważał, że nic ich nie łączyło i to nie była jego wina. Teraz, gdy było już za późno, łapał się na myśleniu, że on też nic nie zrobił, aby to zmienić.

Z zamyślenia ocknął się, gdy stanęli przed bramą do ich posesji i matka wystawiła rękę przez otwarte okno, aby otworzyć ją pilotem. Należeli do niewielu rodzin, których posesje były ogrodzone. Nie był to jednak ich wymysł, a poprzedniego właściciela, od którego kupili dom. Zaparkowali na betonowym podjeździe obok rosnącego klonu. Ryan wychylił się do tyłu, aby zabrać z tylnego siedzenia torbę ze swoimi rzeczami, ale wtedy jego pokiereszowany bark dał o sobie znać. Nie udało mu się powstrzymać bolesnego jęku, który wyrwał mu się z ust.

– Ja to zrobię – powiedziała jego matka i sama sięgnęła po bagaż. – Babcia ugotowała dla ciebie coś specjalnego.

– Nie jestem głodny – odparł Ryan po zatrzaśnięciu drzwi od samochodu. – Wiesz... nie musisz się silić, aby... Sama wiesz.

Jego matka włączyła jeszcze alarm od samochodu i uśmiechnęła się do syna. Była ładną, szczupłą i zadbaną blondynką. Po niej syn odziedziczył szaro-niebieskie oczy o chłodnym, przejrzystym odcieniu.

– Pozwól mi być matką, a sobie pozwól być dzieckiem – odparła.

Kiwnął tylko głową. Nie wiedział, jak rozmawiać teraz z mamą. Coś banalnego, jak „Hej, ładna dziś pogoda” wydawało się nie na miejscu. Na wspomnienie ojca było zaś za wcześnie. Tak samo będzie z dziadkami, a oni przecież stracili już drugiego syna.

Gdy pchnął jak zwykle niezakluczone drzwi, ich górny kant uderzył o zawieszony pod sufitem dzwonek. Puste, metalowe rurki uderzyły o siebie, oznajmiając domownikom, że ktoś wszedł do domu. To też wydawało się Ryanowi w jakiś sposób niewłaściwie. Ten dźwięk był zbyt radosny.

Tak, jak i niski, męski śmiech, który doszedł do jego uszu z wnętrza domu. Ryan spojrzał w stronę kuchni zaskoczony. Z holu nie mógł niczego dojrzeć. Gdy odkładał buty na drewnianą buciarkę, w oczy rzuciły mu się brudne, zniszczone adidasy. Nie należały do niego, ani do ojca.

– Ach, zapomniałam ci powiedzieć. – Matka wymięła Ryana w korytarzu. – Przyjechał twój wujek, Johnny.

Zaskoczony Ryan zmarszczył brwi. Słyszał to imię wielokrotnie z ust dziadków. Widział też je napisane na pocztówkach, które rzadko do nich przychodziły z najróżniejszych zakątków świata. Raz na rok albo nawet rzadziej. Zawsze była też tylko krótka, lakoniczna notka w stylu „Wciąż żyję”. Dziadkowie nazywali drugiego syna *wędrowcem*, ojciec w ogóle nie wspominał o swoim młodszym bracie. Chyba nie byli zbyt blisko. Zresztą, nawet pocztówki były zaadresowane tylko do dziadków.

W kuchni, przy stole, nad talerzami z zupą pomidorową siedzieli babcia z dziadkiem oraz wysoki facet koło trzydziestki. Był podobny do ojca, a jednocześnie zupełnie inny. Szczupły, bez śladu piwnego brzucha, a jego skóra była spalona przez słońce południowych krajów. Długie do ramion, falowane włosy, które dawno nie widziały fryzjera, komponowały się z niewyprasowaną hawajską koszulą. Tak, Johnny zupełnie nie przypominał swojego starszego brata, a jednocześnie był do niego łudząco podobny. Mieli takie same lekko orle nosy, mocno zarysowane szczęki i szerokie usta. Nawet ich brwi układały się w taką samą, ostrą linię.

Wyglądało na to, że Johnny jednocześnie jadł pomidorową zupę, którą babcia ugotowała dla wnuka, bo to była jego ulubiona, oraz palił papierosa. A dziadek przecież nienawidził dymu papierosowego. Ojciec zawsze musiał wychodzić z domu na ganek, żeby zapalić. Nawet w zimie. Teraz dziadkom wydawało się to zupełnie nie przeszkadzać. Oboje patrzyli na swojego marnotrawnego syna jak na jakąś świętość. Nawet dziadek lekko się uśmiechał, mimo że na co dzień był zrzędlwym gburem.

„Hej, jeszcze nie minął miesiąc odkąd zmarł wasz pierwszy syn. Ten, który cały czas przy was był” – pomyślał z goryczą Ryan, nic jednak nie powiedział. Już nienawidził tego faceta. Jego farbowanych na blond włosów, niechlujnego zarostu, tatuażu węża oplatającego jego lewe przedramię i tego pobłażającego uśmiechu.

– Och, więc to gówniak Teda – rzucił mężczyzna, nawet nie kwapiąc się, aby się przedstawić. – Ciesz się, dzieciaku, że więcej odziedziczyłeś po mamie.

– Johnny! – ofuknęła go babcia Ryana i klepnęła dłonią w tył głowy.

– No, co? – mruknął mężczyzna, pocierając obolałe miejsce. – Przecież mówię prawdę. Słodki dzieciak. Udał ci się, Jennifer.

– Cały ty – parsknęła kobieta, która stanęła za swoim synem w progu kuchni. Ucałowała go z zaskoczenia w policzek. – Ale to mój skarb. Och, patrz Ryan, wujek chyba zjadł ci całą zupę.

Podeszła do mężczyzny i poklepała go po ramieniu, jakby mówiła „Dobrze, że jesteś”. Ryan nadal stał w progu, przyglądając się całej scenie z rosnącą złością i zaciśniętymi ustami.

– Może chcesz zapiekanki? Ze szczypiorkiem, hmm? – spytała syna Jennifer.

– Ja chcę! – Johnny uniósł rękę do góry, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. – Ta zupa to chyba na wodzie była.

Ryan zacisnął dłonie schowane w kieszeniach, wbijając paznokcie w skórę.

– Niczego od was nie chcę! – syknął i wyszedł z kuchni, nie czekając na niczyją odpowiedź.

Szybko wbiegł na pierwsze piętro i pokonał korytarz, na końcu którego było wejście na poddasze. Aby schody się wysunęły, trzeba było pociągnąć za sznurek. Wspiął się na górę i zamknął się w swojej jaskini. Rzucił się na łóżko, nie bacząc na swój stłuczony bark. Po chwili przypomniał sobie, że nie zabrał swojej torby z rzeczami, ale nie zamierzał po nią wracać. Nie po przedstawieniu, które przed momentem odstawił.

– Johnny – syknął, zakrywając oczy przedramieniem. – Pieprzony Johnny.

Ostatnie, co pamiętał, to jak wsiadał do auta, gdy ojciec odbierał go z imprezy. Pomyślał, że to miłe i niecodzienne jak na niego. Zaraz jednak w głowie Ryana pojawiła się myśl, że to pewnie mama go zmusiła. Później ocknął się w szpitalu. W ogóle nie pamiętał momentu wypadku. Od obsługi szpitala dowiedział się jednak, że to najprawdopodobniej jego ojciec zjechał na drugi pas, przez co czoło zderzyli się z ciężarówką. On zmarł na miejscu, a Ryan jakimś cudem skończył jedynie z wstrząśnieniem mózgu, rozciętym czołem i kilkoma poważniejszymi stłuczeniami.

Podobno ojciec w momencie wypadku był pijany. Matka nigdy nie pozwoliłaby mu jechać nawet po piwie, więc pewnie przed odebraniem Ryana zatrzymał się na stacji. Co za idiotyczna śmierć, pomyślał chłopak. Co za idiotyczny sposób na spieprzenie kilku osobom życia.

– Idiota – powiedział na głos przez łzy.

Dłoni przejechał po swojej twarzy, a potem znieruchomiał. Trwał tak chwilę, z niewidzącymi oczami patrząc się przed siebie, aż nie dobiegł do niego głos matki z dołu:

– Ryan! Zejdź do nas! Proszę cię, nie zachowuj się jak...

– Daj mi spokój! – odkrzyknął.

Czuł się z tym źle, ale chciał być teraz sam. Wiedział, że matka nie wejdzie do góry po drabince, bo ma lęk wysokości. Tu mógł mieć święty spokój od wszystkiego i od wszystkich. Zdziwił się więc, gdy po chwili kłapa się otworzyła i ukazała się w nich głowa Johnny'ego.

– Co ty tu robisz?! To mój pokój! – oburzył się Ryan.

– Taa? – Mężczyzna posłał mu pobłażający uśmiešek, stając na podłodze poddasza.

– A ja sądziłem, że ten dom kupili twoi rodzice na spółkę z dziadkami. No popatrz, tak się pomylić.

Trzymając kłapę otwartą, machnął ręką Jennifer, która czekała na dole i właśnie chciała coś powiedzieć.

– Poradzę sobie – zapewnił i zatrzasnął za sobą wejście.

Ręce zaplótł na piersi i spojrzał na chłopaka, który w między czasie zdążył unieść się do siadu.

– Co powiesz na małą pogawędkę? – spytał.

– Nic.

Johnny zaśmiał się lekko. Mrużył przy tym oczy.

– Elokwencję masz jednak po ojcu.

– Wal się! – syknął chłopak.

– Ułaa, zabolalo – parsknął Johnny, po czym zbliżył się do łóżka. Nagle chwycił Ryana za włosy i nachylił się do niego, zmuszając chłopaka, aby popatrzył mu w oczy. – Słuchaj, szczeniaku. Będę tu przez jakiś czas, czy ci się to podoba, czy nie. Zagryź więc te swoje piękne usteczka i nie przysparzaj swojej mamie więcej zmartwień. Ja tam się mogę nie znać, ale coś mi mówi, że powinieneś być dla niej podporą, a nie zachowywać się jak rozkapryszony bachor. Twoja babcia nazywa mnie wędrowcem, ale ja sam wolę określenie włóczęga. Nigdzie nie zagrzewam na dłużej miejsca, więc w końcu odejdę i będziesz mógł odetchnąć z ulgą. Do tej pory będziesz musiał ze mną wytrzymać. Otrzyj więc łezki, zejdź na dół i przeproś mamę i dziadków. Weź przykład z ojca i zachowaj się jak mężczyzna.

Puścił włosy chłopaka i poprawił wisiorek, który uwolnił się spod jego koszuli, gdy się pochylił. Rozglądnął się przy tym po pokoju chłopaka. Na ścianach wisiało sporo plakatów z zespołami muzycznymi. Jeden przykuł jego uwagę.

– Lubisz High Death? – spytał nagle, jak gdyby nigdy nic i scena sprzed chwili nie miała miejsca. – Byłem niedawno na koncercie w Meksyku. Dobra dupa jednak potrafi odmłodzić człowieka o dwadzieścia lat.

Ryan mimowolnie spojrzał na plakat.

– Że co? – spytał, nim zdążył się powstrzymać.

Johnny popukał zgiętym palcem w miejsce, gdzie na zdjęciu zespołu znajdował się basista.

– Myślałem, że to tylko plotki – przyznał niechętnie chłopak. Dlaczego w ogóle z nim rozmawiał?

– Ja w sumie też, aż nie dostałem się na *backstage* po koncercie. Pewnych rzeczy nie da się odzobaczyć.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze w taki sposób, aby nie było wątpliwości, o jakie rzeczy chodzi, po czym zszedł na dół.

– Nie daj za długo na siebie czekać – rzucił jeszcze na odchodnym.

Ryan znów przetarł twarz dłońmi, wciąż siedząc na brzegu łóżka. Oto trzy rzeczy, jakich się dzisiaj dowiedział: Johnny to kawał chuja, Santa Boy naprawdę jest gejem, a

życie jest do dupy. Po chwili jednak zwał się z łóżka i udał się do kuchni na te nieszczęsne zapiekanki ze szczypiorkiem.

\* \* \*

W domu przesiedział jeszcze kilka dni. Na szczęście Johnny nie przebywał w nim zbyt często. Znikał gdzieś w dzień i w nocy, ale codziennie wracał, by dać dziadkom Ryana nacieszyć się swoją obecnością chociaż przez kilka godzin. Jednocześnie był w domu całkowicie bezużyteczny. Generował tylko więcej prania, zmuszał babcię do gotowania większych ilości jedzenia i pożyczał jedyne auto, jakie im zostało. Bez pytania oczywiście. Przez te kilka dni zdanie Ryana na temat wujka nie zmieniło się więc na lepsze.

Johnny, aka Karaluch, nie był jednak głównym powodem, dlaczego zdecydował się we wtorek iść po raz pierwszy od wypadku do szkoły. Dzisiaj wypadał czternasty lutego. To idiotyczne, komercyjne święto. Większość ludzi, podobnie jak Ryan, uważało to za głupotę, ale i tak płynęli z nurtem różowych serduszek. Nawet ojciec w ten dzień wstawał sprzed telewizora, zakładał najlepszą koszulę i golił się dokładnie. Co roku zapraszał swoją żonę do restauracji, gdzie się poznali. Matka Ryana w liceum dorabiała w niej jako kelnerka.

Gdy chłopak zszedł na dół, do kuchni na śniadanie, od razu zobaczył to w jej oczach. Jennifer jak zwykle uśmiechnęła się pogodnie do syna i udawała, że wszystko jest w porządku. On wiedział jednak, że dzisiaj było jeszcze mniej „okej” niż zwykle. I po prostu stchórzył. Wolał już iść do szkoły, znosić próbujących pocieszyć go kolegów i walentynkową atmosferę, niż patrzeć na jej cierpienie. Takim był tchórzem. Zupełnie nie jak ojciec, pomyślał, parafrazując słowa Johnny’ego sprzed kilku dni.

Postanowił więc iść, mimo próśb matki, aby jeszcze się wstrzymał.

– Już nic mi nie jest. Większość siniaków już mi zeszła – powiedział, gdy jedli razem jajecznice. – I nie chcę sobie zrobić więcej zaległości.

– Wszyscy rozumieją – stwierdziła Jennifer.

– Co rozumieją? Nie chcę, by patrzyli na mnie ze współczuciem.

Matka w końcu dała się przekonać, więc wrzucił do plecaka parę zeszytów, nawet nie sprawdzając, czy ma dzisiaj takie przedmioty. Ubrał się ciepło, bo pomimo braku śniegu, rano temperatura utrzymywała się na poziomie kilku stopni poniżej zera. Szkoła

było blisko, więc zwykle chodził na nogach. Teraz nie miał nawet innej opcji, bo Johnny znów zabrał samochód.

Gdy Ryan przeszedł już przez bramę posesji, coś rzuciło mu się w oczy. Na ceglany murze widniał napis zrobiony białą kredą. To było ledwie kilka linijek. Nie umiał odczytać jednak ani słowa, bo tekst nie był po angielsku. Nie wyglądało to też na niemiecki, ani hiszpański, których także się uczył. Litery należały do alfabetu łacińskiego, ale wiele z nich miało u góry i u dołu, a nawet z boku dodatkowe kreski i kropki. Ryanowi przypominało to jakiś elficki albo krasnoludzki język, jak w grach i książkach. Odczytać mógł tylko jeden wyraz. W środku tekstu znajdowała się liczba 179.

– Jeśli to żart, to nieśmieszny – mruknął i nachylił się, aby zmasać bazgroły rękawem kurtki.

Rozglądnął się też wokoło, poszukując żartownisia, ale nie zauważył nikogo podejrzanego, jedynie paru sąsiadów. Jeśli to był jakiś żart, to bardzo niesmaczny. Przecież wszyscy w okolicy wiedzieli o niedawnej śmierci Teda Nortona.

W szkole było dokładnie tak, jak się spodziewał. Koledzy z klasy wygłaszali swoje formułki: „Tak bardzo mi przykro” i „Jeśli tylko czegoś byś potrzebował...”. To co? – pytał w myślach Ryan. Przecież nikt tak naprawdę nie chciał mu pomóc. To były tylko puste frazesy. Przynajmniej jego koledzy z klasy mogli poczuć, że zrobili, co do nich należało i odetchnąć z ulgą.

Jednak nie ta pusta paplanina była najgorsza, a wzrok tych ludzi. Żalowali go. Współczuli mu. Nawet nauczyciele. Facet od geografii powiedział, że Ryan nie musi przejmować się zbliżającym się sprawdzianem, ponieważ jest w *tej sytuacji*.

Kolejny dzień zapowiadał się dokładnie tak samo. Na śniadanie znów były jajka, chociaż tym razem na bekonie, na dworze nadal panowała niska temperatura, chociaż dalej nie padał śnieg, a na murze znów pojawił się napis. Ryanowi wydawało się, że był taki sam, jak wcześniej, ale nie mógł stwierdzić tego z całą pewnością, bo nie rozumiał ani słowa. Tym razem przed zmasaniem zrobił zdjęcie. Gdy patrzył na nie na ekranie telefonu, coś rzuciło mu się w oczy. Liczba chyba się zmieniła. Dziś było to 178, czyli zmalała o jeden.

– Dziwne – mruknął Ryan.

Równie dobrze mógł po prostu źle zapamiętać.

Ten dziwaczny napis absorbował jego myśli do tego stopnia, że zamiast skupić się na lekcji, próbował rozwikłać zagadkę. Miał przecież tyle materiału do nadrobienia, a teraz

przez myślenie o głupotach dokładał sobie jeszcze więcej. Były jednak też pozytywy całej sytuacji. Przynajmniej jego głowa była czymś zajęta.

Kolejnego poranka miał już pewność. Bazgroły znów widniały na murze. Ryan porównał je ze zdjęciem i stwierdził, że napis jest taki sam, a zmienia się jedynie liczba. To było odliczanie. Tylko do czego? – zastanawiał się. To był jedyny ceglany mur w okolicy. Może jakieś uliczne gangi zostawiały tu sobie wiadomości? Widział już wcześniej na ścianach budynków takie bazgroły – pełne wygrażania, przekleństw i błędów ortograficznych. Te jednak robione były sprejem, a przede wszystkim w języku angielskim.

Podczas lekcji wpadł na pomysł, aby zapytać o napis szkolnego bibliotekarza. Wiedział, że mężczyzna ukończył lingwistykę na jakimś dobrym uniwersytecie. Oprócz ścierania kurzu z bibliotecznych półek, uczył także łaciny. Był młody, dość przystojny, wykształcony i nawet według innych nauczycieli marnował się na tym zadupiu. Ryan nie miał na ten temat zdania. Niech sobie facet robi, co chce.

Do biblioteki poszedł podczas przerwy obiadowej. W środku było kilku uczniów, którzy korzystali z komputerów. Tak, szkolna biblioteka byłaby zupełnie martwa, gdyby nie darmowy dostęp do Internetu. Bibliotekarz siedział za ladą z nosem w jakimś niebotycznie grubym tomie. Ryan musiał powiedzieć „Przepraszam” dwa razy, zanim mężczyzna na niego spojrzał.

– Ach, tak – powiedział bibliotekarz, poprawiając wąskie okulary na nosie.

– W czym mogę pomóc?

– Cóż... Znalazłem coś takiego na murze. – Ryan pokazał mężczyźnie zdjęcie na telefonie. – Chciałbym się dowiedzieć, co to za język.

– Hmm... to transkrypcja opierająca się głównie na łacińskich literach. Ze względu na to, że znajdujemy się w pobliżu rezerwatu, stawiam na język nawaho.

– Indiański? – zdziwił się Ryan. – I jest do tego jakiś słownik?

– Z pewnością. Jednak nie w naszej bibliotece. W księgarni także będzie ciężko go zdobyć. Jeśli jesteś bardzo zainteresowany odczytaniem tego, spróbuj poszukać w Internecie.

– A pan by nie potrafił?

– Przykro mi, specjalizuję się jedynie w łacinie i grece.

Bibliotekarz nie był tak pomocny, jak spodziewał się Ryan, ale przynajmniej dowiedział się, co to za język. Dzięki temu miał już plan na resztę dnia. Wieczorem spróbuje rozszyfrować napis, a w nocy złapać jego autora. Gdy sprawdzał wczoraj o dwudziestej trzeciej, mur wciąż był czysty. Rano jednak bazgroły znowu się pojawiły.

Gdy wracał po lekcjach do domu, spotkał koło przystanku swoją mamę. Kobieta właśnie wysiadła z autobusu z dwiema siatkami pełnymi zakupów. Teraz więc szli ulicą razem, dzierżąc po jednej reklamówce.

– Czemu tak się ubrałaś, żeby zrobić zakupy? – zapytał Ryan.

Jennifer miała na sobie elegancki komplet z granatowym żakietem, dokładny makijaż i zgrabnego koka na szczycie głowy.

– Byłam na rozmowie o pracę – odparła. – Poszło bardzo dobrze. Pewnie dlatego, że to firma mojego znajomego z liceum, ale wciąż... Będę mogła zacząć od przyszłego tygodnia.

Ryan aż przystanął w miejscu ze zdziwienia.

– No ale jak to?

Do tej pory mama pracowała w sklepie, który na leżał do dziadków Ryana. Jako jeden z nielicznych rodzinnych biznesów przetrwał budowę centrum handlowego. Może dlatego, że był całodobowy i skupiał się na sprzedaży alkoholu i papierosów. Może dlatego, że przy wejściu stały automaty ze słodyczami, a może dlatego, że ludzie się do niego przyzwyczaili.

– Ryan, teraz, kiedy nie ma twojego taty, potrzebujemy pieniędzy jak nigdy przedtem. Dziadkowie zajmą się sklepem w dzień, a Johnny weźmie nocne zmiany.

– Johnny? – powtórzył Ryan, marszcząc brwi. To wydawała mu się zbyt odpowiedzialna praca dla tego faceta. – A co z Markiem?

Jennifer westchnęła.

– Niestety musimy go zwolnić – przyznała. – Nie stać nas na dodatkową pensję.

– A co z polisą? Przecież ojciec był ubezpieczony, prawda? Pamiętam, że go zmusiłaś.

Doszli już do domu, więc Jennifer otworzyła bramę. Samochód nie stał na podjeździe, więc Johnny znów musiał gdzieś wybyć. Kobieta zatrzasnęła za nimi furtkę i spojrzała na syna.

– Ryan... – zaczęła. – Prawda jest taka, że to twój tata był winny wypadku. Nie wypłacą nam w takiej sytuacji odszkodowania.

– Więc naprawdę był pijany? Co za beznadziejny człowiek – prychnął chłopak i ruszył szybciej w stronę domu, zostawiając matkę za sobą.

– Ryan...

Zjedli obiad razem z dziadkami w niemal całkowitej ciszy, a potem Ryan zamknął się na swoim poddaszu. Wydrukował zdjęcie z napisem i przykleił je na szafce wiszącej nad biurkiem. Po bardzo głębokim przekopaniu Internetu dowiedział się, że językiem nawaho posługuje się jakieś sto tysięcy Indian w USA, którzy zamieszkują głównie rezerwy. Rdzenny język wśród młodszych pokoleń z miast niemal zanikł. Pierwszy słownik powstał jeszcze przed drugą wojną światową, ale nie był on w późniejszych latach zbyt rozwijany. Dobre tłumacze także nie istniały.

Po kolejnych męczarniach i godzinach spędzonych w Internecie Ryanowi udało się zainstalować wirtualną klawiaturę ze specjalnymi znakami języka nawaho. Gdy spróbował przepisać tekst ze zdjęcia odkrył, że litery są napisane bardzo niedokładnie i często nie miał pewności, jaki to znak. Gdy wczytał się w zasady gramatyki, jego nadzieja na odczytanie napisu jeszcze zmalała. Układ zdania był zupełnie inny niż w angielskim, dodatkowo w nawaho w ogóle nie istniały przymiotniki, a ich funkcję pełniły czasowniki.

Spróbował wpisać cały tekst w translator, będący w „fazie rozwoju” chyba od lat dziewięćdziesiątych, ale nie uzyskał żadnych wyników. Wpisywanie wyrazów pojedynczo także nie dało efektów. Nie mógł się też w pełni skupić, bo co chwilę wyglądał przez okno. Ulica przy jego domu była słabo oświetlona, ale liczył, że uda mu się dojrzeć, gdy ktoś podejdzie pod mur. Zbliżała się dwudziesta czwarta, ale nadal nikogo nie zauważył, a jutro musiał wstać wcześniej do szkoły. Postanowił więc iść spać, a polowanie urządzić w weekend. Zrezygnowany klepał jeszcze jeden wyraz w translator, zmieniając jedną samogłoskę, której odczytania nie był pewien, i nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie.

„Zabiję” – to słowo pojawiło się na ekranie jego laptopa. W tym samym momencie wyłapał kątem oka ruch na ulicy. Przy ogrodzeniu posesji przystanął jakiś zakapturzony osobnik. Musiał być wysoki, bo jego głowa wystawała wyraźnie zza muru. Ryan zerwał się z miejsca i niewiele myśląc, zszedł z poddasza, a potem wybiegł z domu.

– Hej, ty!

## Rozdział 2

Gdy biegł przez podwórze, przez moment widział jeszcze czubek głowy tego mężczyzny. Brama była otwarta, ponieważ Johnny znów miał wrócić późno w nocy, więc Ryan wypadł przez nią niczym wicher, aby złapać żartownisia na gorącym uczynku. I to mu się udało. Zakapturzony typ właśnie bazgrał pierwsze słowa na czerwonym murze Nortonów. Nie drgnął nawet, gdy Ryan stanął obok, tylko spokojnie kontynuował swoje dzieło.

– Hej, ty! – warknął jeszcze raz chłopak.

Dopiero teraz wandal odwrócił w jego stronę okrytą kapturem szarej bluzy głowę. Ryan spodziewał się wreszcie zobaczyć twarz tego idioty, ale nie było mu to dane. Mężczyzna miał nałożoną białą maskę. Podobną do tych, które były znakiem rozpoznawczym hakerów z Anonymous, ale bez charakterystycznej brudki i uśmiechu. Chociaż nie, pomyślał Ryan, mimowolnie cofając się o krok. Znacznie bardziej przypominała jedną z masek Taylora ze Slipknot. Ryanowi przemknęło przez myśl, że cały ten plan ze złapaniem wandala był idiotyczny i może powinien wycofać się z klasą, póki jeszcze miał szansę. Ale...

– Ale, kurwa, nie! – warknął bardziej do siebie niż do wandala, aby dodać sobie animuszu. – Kim ty w ogóle jesteś?!

Mężczyzna zastygł na chwilę w bezruchu, jakby się nad czymś zastanawiając. Tego Ryan nie mógł stwierdzić z całą pewnością, bo przecież nie widział jego twarzy. Wszystko trwało zaledwie parę sekund, po czym nieznajomy poderwał się do biegu i zaczął uciekać. Ryan ruszył za nim, ale odległość między nimi szybko się powiększała. Dopiero teraz pomyślał o tym, że jest środek zimy, a on ma na sobie jedynie dres i kaptur, które tylko utrudniały biegnięcie. Dodatkowo zamaskowany facet był w bardzo dobrej formie, w przeciwieństwie do Ryana, któremu prędko zabrakło tchu, a obtłuczone po wypadku ciało szybko dało o sobie znać bólem w podbrzuszu i barku. Kiedy mężczyzna przeskoczył jednym susem przez drewniany płot czyjejs nieoświetlonej posesji i zniknął za budynkiem, Ryan po prostu się poddał.

Dyszząc ciężko, wysapał przekleństwo i ze złości kopnął w miejski, metalowy kosz na śmieci. Zaraz tego pożałował, bo uderzył się w palec u stopy.

– Kuźwa! – przeklął jeszcze raz i się wyprostował. Wtedy ujrzał, że z nieba zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg. – No pięknie.

Rozmasował ramiona, bo zrobiło mu się zimno. Z tego wszystkiego nawet nie patrzył, w którą stronę biegł, więc musiał rozejrzeć się po okolicy. Zdziwiło go, jak bardzo oddalił się od domu. Złość rzeczywiście musiała dodawać siły. Zrezygnowany powlókł się opustoszałą ulicą w drogę powrotną. Drobne, błyszczące w świetle latarni płatki śniegu osiadały na jego włosach i ubraniu.

Przed bramą jego podwórka czekała na niego kolejna niemiła niespodzianka, mianowicie Johnny oparty o ich Passata. Widocznie czekał na niego.

– Muszę przyznać, że epicko to wyglądało, jak w tych klapeczkach popylałeś za tym gościem. – Zaśmiał się. – To o co poszło?

Ryan się skrzywił. A więc widział, pomyślał.

– Daj sobie siana – odparł i spróbował wyminąć Johnny’ego, ale ten chwycił go za ramię.

– Dalej taki elokwentny. Ale jeśli coś jest na rzeczy i gość ci się narzuca czy coś, to mogę go trochę utemperować.

O czym on mówi? – zdziwił się Ryan. Odwrócił twarz, by na niego spojrzeć i odkrył, że mina Johnny’ego była zupełnie inna niż jeszcze przed chwilą. W czystym, zielonym spojrzeniu coś się kryło. Żartobliwy ton z jego głos też jakby wyparował.

– Gdzie ty w ogóle tak znikasz na całe dni? – spytał Ryan, aby zmienić temat.

– Wiesz... – zaczął Johnny i podszedł do bramy, aby ją otworzyć na oścież i wjechać samochodem na posesję. – Długo mnie nie było, więc wypada odnowić stare znajomości, pokłonić się nowym królom.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To się ciesz.

Więcej już nie rozmawiali. Ryan wrócił do siebie, wykąpał się i położył spać. Jutro czeka na niego przecież kolejny dzień. Przed zaśnięciem popatrzył jeszcze przez okno na padający śnieg. Przynajmniej zakryje trochę brudu, pomyślał.

Nowy dzień rozpoczął się jednak inaczej niż przewidywał, a mianowicie miłą niespodzianką. Przed bramą czekała na niego jego najbliższa przyjaciółka, Trish. W szkole powszechnie nazywano ją „bladą Pocahontas” przez sięgające do pasa czarne włosy i bardzo jasną cerę.

– Trish? Nie było cię ostatnio w szkole.

Dziewczyna czekała na niego z dłońmi wsadzonymi w kieszenie czarnych dżinsów przyozdobionych pojedynczym łańcuchem, żując przy tym powoli gumę. Gdy usłyszała jego głos, spojrzała na Ryana ponad szklami wąskich okularów z czarnymi oprawkami.

– No, ciebie też – odparła tak charakterystycznym dla siebie zblazowanym tonem.

I to było wszystko. Żadnego „Tak bardzo ci współczuję”, ani żadnych bzdur, od których wysłuchiwanie przez ostatnie dni robiło mu się niedobrze. Ryan patrzył na nią przez moment, a potem parsknął śmiechem. Od razu przypomniał sobie, dlaczego tak lubił tą dziwną osobę.

– No, to za nim udamy się do tego rządowego przybytku nieustającego w próbach wyprania nam mózgów, powiedz, co to za arcydzieło masz na murze. – Trish wskazała skinieniem głowy na napis. – Przedtem tego nie było.

Ryan spojrzał na mur. Wczoraj wieczorem przerwał zamaskowanemu gościowi w połowie pracy, ale dziś napis był już w całości. I znowu zmieniła się tylko liczba. Ryan zasyczał przez zęby i starł napis. Nie miało to większego sensu, ale jego natura kazała mu działać na przekór.

Po drodze do szkoły opowiedział Trish całą historię wraz z tym, co udało mu się odczytać z napisu. Zrelacjonował także swój wczorajszy pościg w papuciach, który dziewczyna skomentowała litościwym parsknięciem.

– To było głupie – skomentowała. – Nie sądziłam, że aż taki z ciebie idiota.

– Ja też – przyznał chłopak.

– Ale właściwie, czemu aż tak cię ta sprawa pochłania? To prawdopodobnie nawet nie ma z tobą, czy twoją rodziną żadnego związku. Jeśli potrzebujesz się na czymś zafiksować, to polecam coś zdrowszego niż bieganie na mrozie w klapkach.

Ryan pokiwał głową. Pocahontas jak zwykle miała rację. Tylko na czym innym miał się zafiksować, by nie myśleć o rzeczywistości?

– W sumie, to ciekawy zbieg okoliczności – stwierdziła Trish, gdy znaleźli się już prawie pod szkołą.

– Co takiego? – zdziwił się Ryan.

– Gdy cię nie było, przenieśli do równoległej klasy ucznia. Ciekawe ploty o nim chodzą i podobno strasznie aspołeczny typ.

– Nie sądziłem, że interesują cię plotki.

– Nie interesują – odparła Trish – jednak i tak je słyszę. W każdym razie, podobno wyszedł z poprawczaka, a na mię ma Atsah, Atso...Nie pamiętam dokładnie, ale oznacza to orła w języku nawaho.

Ryan aż przystanął z klamką od drzwi wejściowych do liceum w dłoni. Spojrzał na Trish.

– I ty nazywasz to zbiegiem okoliczności?! – spytał wzburzony. – To on. Kuźwa, to on!

Trish pchnęła go lekko, aby przeszedł przez drzwi, bo za nimi zaczęła tworzyć się kolejka. Na szczęście ich szkolne szafki stały blisko siebie, więc skręcili razem w jeden z korytarzy.

– Nie możesz mieć pewności – powiedziała. – Nawet nie wiesz, jak ten gościu wyglądał.

– Ta, ale niedługo po pojawieniu się tego typu w szkole, ktoś zaczyna pisać po indiańsku na moim murze coś o mordowaniu. To trochę za dużo, jak na zwykły zbieg okoliczności – upierał się Ryan. – Ile ten nowy ma wzrostu?

Trish ściągnęła kurtkę i upchała ją do swojej szafki. Podobnie jak Ryan miała na niej kilka naklejek zespołów rockowych.

– No, wysoki... Coś jak... – Rozglądnęła się po tłumie zebranych na korytarzu. Do pierwszego dzwonka zostało ledwie parę minut. – Jak on sam.

Palcem wskazała w głąb korytarza. Ryan nie miał problemu z wyszukaniem w tłumie ucznia, o którego chodziło. Jego głowa wyraźnie wystawała ponad innymi. Był odwrócony do nich tyłem, więc Ryana widział tylko jego długie, czarne włosy. Na pewno miał grubo ponad metr osiemdziesiąt. Tak samo, jak zamaskowany facet z wczoraj.

– To on!

Ryan zaczął przebijać się przez tłum, ale nim zrobił więcej niż kilka kroków, zatrzymała go Trish.

– I co teraz zrobisz? W tłumie uczniów i nauczycieli? – spytała. – Za chwilę będzie dzwonek. Jak tak bardzo ci zależy, to trzeba go capnąć na długiej przerwie albo po lekcjach.

Tak, jak powiedziała Trish, po chwili rozległ się pierwszy dzwonek. Uczniowie zaczęli rozchodzić się do swoich klas. Uznał, że miała rację, więc razem udali się na chemię. Uświadomił sobie, że dziś miała być lekcja praktyczna, a on z tego wszystkiego zapomniał kitla. Ale przecież ujdzie mu to płazem, bo był *w tej sytuacji*.

Na pierwszej przerwie od kolegi, który chodził z Indianinem do tej samej klasy, dowiedzieli się, że typ rzadko z kimś gada, na przerwach gdzieś znika i często urywa się z lekcji. Ogólnie to jakiś dziwny jest, a do tego podobno kogoś zamordował i dlatego był w poprawczaku.

– Idiotyzm – skwitowała te nowiny Trish i przewróciła oczami. – No, ale najlepiej będzie go capnąć po lekcjach. Kończą wtedy, co my. Jeśli tylko nie zwinie się wcześniej.

Tak też zrobili. Z klasy wypadli równo z ostatnim dzwonkiem, nie czekając nawet na to, aż nauczyciel skończy zdanie. Zbiegli po schodach na parter, gdzie stały szafki uczniów, aby zabrać kurtki. Myśleli, że będą pierwsi, ale ktoś stał już na korytarzu i właśnie zamykał czerwone drzwiczki swojej szafki na kłódkę.

To był on. Teraz Ryan mógł przyjrzeć się jego twarzy, chociaż dużą część profilu Indianina przesłaniały zmierzwione, lśniące pasma czarnych włosów. Chłopak miał bardzo ostre rysy twarzy, z wyraźnie zaznaczonym podbródkiem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Jego skośne oczy były doskonale czarne.

– Seksowny – mruknęła Trish, przygryzając paznokieć kciuka. – Że też wcześniej się nie przyjrzałam.

– To jakiś chory, niebezpieczny świrus! – syknął Ryan. Nie zaprzeczył jednak.

– Przesadzasz – zbyła go dziewczyna i pierwsza podeszła do chłopaka, który już kierował się w stronę drzwi. – Hej, nowy! Chcemy pogadać!

Indianin zatrzymał się i odwrócił. Wzrokiem otaksował Trish od góry do dołu. Jego ponurą dotąd minę rozświetlił słaby uśmiech.

– To pewnie na ciebie wołają Pocahontas? – spytał.

– Uraża cię to?

– Nie, ale pasuje do ciebie.

Trish uśmiechnęła się bokiem ust i poprawiła okulary.

– A jak się nazywał ten w niej zakochany? – zaczęła. – Kocoum?

– Coś takiego.

Ryan zatrzymał się parę kroków za Trish. Działo się tu coś bardzo dziwnego. Mieli zapytać tego typka o napis na murze, a nie z nim flirtować. Trish jednak nie dało się kontrolować, ani przewidzieć tego, co zrobi.

– Więc... To ty pewnie jesteś John Smith?

Zaskoczony Ryan spojrział na Indianina i odkrył, że ten uważnie mu się przygląda. Właściwie, zmierzył go takim samym wzrokiem, jak przed chwilą Trish. To tylko zirytowało chłopaka jeszcze bardziej.

– Nie, kuźwa! – warknął. – Jestem Ryan Norton. Ten, któremu bazgrzesz te pierdoły na murze.

Chłopak patrzył na niego przez chwilę, chyba nie wiedząc, jak to skomentować, a potem parsknął. Wyciągnął rękę i potarł Ryana po włosach.

– Och, jaki słodziak z ciebie, jak się tak jeżysz. – Zaśmiał się.

Ryan próbował mu się wyrwać, ale Indianin na to nie pozwolił. Zbliżył się jeszcze bardziej, przyciągając jego twarz do swojej i zerwał mu jeden z elastycznych pasków do zamykania ran, które miał na czole. Właściwie Ryan nie musiał już nosić żadnych opatrunków, bo rozcięcie się zasklepiło, ale po cichu liczył, że może dzięki temu blizna będzie mniejsza.

– A to co? Rana wojenna? – spytał Indianin. Cały czas trzymał Ryana za podbródek. Miał wręcz końską siłę. – Nadaje ci wyrazu, słodziaku.

– Pieprz się! – warknął Ryan i wreszcie mu się wyrwał. Dłonią zasłonił bliznę. – Nic ci, kurwa, do tego!

Indianin tylko popatrzył na niego z góry, dosłownie i w przenośni, co tylko rozsierdziło Ryana bardziej, a potem odwrócił się na pięcie i ruszył w swoją stronę, czyli ku wyjściu ze szkoły. Cały czas uśmiechał się też pobłażająco. W Ryaniu aż się zagotowało. Ruszył za nim, wymijając Trish, która tylko westchnęła.

Dopadł do Indianina i pociągnął za rękaw kurtki.

– Masz przestać wypisywać te bzdury na moim murze, rozumiesz?!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Indianin. Spojrzął z uniesioną brwią na swoje ramię, za które był trzymany, ale tego nie skomentował. – Chyba mocno uderzyłeś się w tą głowę.

– Nie udawaj! Wiem, że to ty!

Coraz więcej uczniów zbierało się przed wyjściem ze szkoły. Nie umknęło to uwadze Indianinowi. Poprawił na ramieniu plecak i ruszył przed siebie, nie zważając na toczącego pianę z ust Ryana, któremu wyszarpnął się z uścisku.

– Daj spokój – zasugerowała Trish, która stanęła za chłopakiem, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Widzisz, że nie chce gadać.

– I to jest jeszcze bardziej podejrzane! – odparł Ryan, w którym przez tą krótką wymianę zdań z Indianinem z jakichś niejasnych nawet dla niego samego powodów zagotowała się krew. – Nie zamierzam tak tego zostawić.

– To co zrobisz?

Ryan sam jeszcze nie wiedział. Zastanowił się przez chwilę.

– Po prostu pójdę za nim – zdecydował. – Będę go śledził tak długo, aż się upewnię, czy to on, czy nie.

Trish pokręciła głową.

– Brzmi jak genialny plan – skwitowała. – Tylko co, jak mu się to nie spodoba? Myślę, że jak ci przypieprzy, to wybiję ci kilka zębów. No, ale jak serio chcesz to zrobić, to się pośpiesz.

Wskazała coś kiwnięciem głowy, a Ryan popatrzył w tamtym kierunku. Indianin dotarł już za ogrodzenie szkoły i skręcił chodnikiem w lewo. Jeszcze parę kroków i stracą go z oczu. Ryan pomachał Trish na pożegnanie i pobiegł za nim.

Dziewczyna przeczesła swoje długie, czarne włosy i ruszyła w przeciwną stronę.

– Czuję, że to się źle skończy – mruknęła do siebie.

Szli już dobre pół godziny. Ryan uparcie podążał kilka kroków za nowym uczniem. Indianin zauważył już na samym początku, że jest śledzony, ale usilnie ignorował ten fakt. Nawet się nie odwracał, aby sprawdzić, czy chłopak dalej za nim podąża. Ryan próbował zaczepić go jeszcze parokrotnie, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów. Indianin traktował go jak powietrze.

Ryan z każdą minutą rozglądał się coraz bardziej nerwowo. W zimie szybko robiło się ciemno, a on bardzo słabo znał tę okolicę. Byli już na przedmieściach, w dzielnicy nie cieszącej się najlepszą sławą. Podobno gdzieś tutaj swoje magazyny miał jeden z dwóch gangów, których tereny zazębiały się akurat w tym mieście. Tyle Ryan wiedział ze słyszenia. Nigdy nie natknął się na żadnego mafiosa, a przynajmniej nie był tego świadomy. Od czasu do czasu przeczytał tylko w lokalnej gazecie o tym, że znowu znaleźli jakiegoś trupa w rzece. Jednak to wszystko działo się gdzieś obok niego. On pochodził z normalnej, do bólu przeciętnej rodziny.

W końcu Indianin zatrzymał się przed jedną z ogrodzonych metalową siatką posesji. Kluczem otworzył furtkę. Gdy wchodził do małego, zaniedbanego domku, nawet nie

spojrzał na Ryana. Chłopak zerknął na zegarek. Nie było nawet piątej. Nie może sterczeć przed czyimś domem przez kilka godzin. Po drugiej stronie ulicy stała mała restauracja, więc postanowił z jej wnętrza obserwować, czy Indian gdzieś wychodzi. Nawet dobrze się składało, bo zrobił się głodny.

W restauracji zamówił zestaw obiadowy numer trzy, składający się ze trudnej do zdefiniowania zupy, skrzydełek Buffalo, sernika i tyłu dolewek rozwodnionej kawy, ile był zdolny pomieścić jego pęcherz. Usiadł przy stoliku koło okna i obserwował małą, zabiedzoną chałupinkę, do której wszedł Indianin. Właśnie, jak on w ogóle miał na imię? – pomyślał w pewnym momencie. Przypomniał sobie, że Trish mówiła coś o orle. Akurat znalezienie odpowiedniego imienia w Internecie nie przysporzyło mu zbyt wielu problemów. Brzmiało ono Atsah.

Czas mijał. Kelnerka w żółtoczerwonym fartuszk kursowała z dolewką kawy już kilka razy do jego stolika, a on zdążył już dwa razy odwiedzić toaletę. Po drugiej stronie ulicy nic jednak się nie działo. Gdy w końcu ujrzał, jak drzwi domu się otwierają, w pośpiechu zebrał swoje rzeczy, zostawił pieniądze na stole i wybiegł z restauracji. Na ulicę nie wyszedł jednak młody Indianin, a mężczyzna w średnim wieku i właśnie wsiadał do starego jeepa zaparkowanego przy chodniku.

– Przepraszam – zagadnął go Ryan. Podejrzewał, że był to ojciec chłopaka. – Czy Atsah jest w domu?

Mężczyzna spojrział na niego wyraźnie zdziwiony pytaniem. Był wysoki i bardzo chudy. Miał na sobie znoszone dżinsy i grubą koszulę w kratę.

– Wszedł – odparł w końcu.

Niby kiedy? – pomyślał Ryan, podejrzewając, że facet go okłamuje. Zaraz przypomniał sobie, że przecież dwa razy wychodził do toalety.

– Przed chwilą – dokończył jednak mężczyzna i zaraz doprecyzował: – Tylnym wyjściem.

Ryan popatrzył na posesję. Za nią rozciągał się już tylko sosnowy las, a potem góry. Ostatnio był tam, gdy chodził jeszcze do podstawówki. Przypomniał sobie, że mama zabierała go do lasu na spacer. Później Ryanowi nie było już z naturą za pan brat.

– Do lasu? – dopytał.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Często tam znika.

Ryan podziękował, a potem okrążył posesję. Z tyłu rzeczywiście znalazł ścieżkę prowadzącą do lasu. Świeże ślady butów na śniegu potwierdziły, że ktoś niedawno tamtędy przechodził.

Las był zapomniany przez większość mieszkańców miasta. Od lat nieniekoszony przez człowieka i pozostawiony sam sobie budził teraz w Ryanie nieprzyjemne uczucia. Był taki dziki i pierwotny. Długie pnie sosen gięły się w raz ze wzmagającym się wiatrem, wydając z siebie nieprzyjemne skrzypnięcia. Pokryte iskrzącą się warstwą śniegu zielone igły osłaniały głębię lasu przed światłem. Pierwsze gwiazdy powoli ukazywały się już na niebie, na którym królował dziś księżyc w pełni. Dawał on trochę światła, ale środek lasu i tak skąpany był w półmroku.

Ryan czuł aż w kościach, że pójście tam za Indianinem było bardzo złym, bardzo głupim pomysłem. Ruszył jednak jego śladami. Co miał przecież do stracenia?

\* \* \*

To była jego druga nocna zmiana w sklepie rodziców. Dwanaście godzin odciskania sobie tyłka na twardym krześle za ladą. Nikt cię tak nie wykorzysta jak własna rodzina – pomyślał Johnny, chociaż tak nie uważał. Spieprzył na tyle lat, zostawiając wszystko na głowie Teda. Teraz przynajmniej mógł odkupić trochę swoich win u rodziców. O innych nawet nie myślał.

Cóż, siedzenie na dupie i przeglądanie gazetek z gołymi babami nie było aż takie złe. Dziwił się, że w ogóle ktoś jeszcze kupuje te pisemka w dobie Internetu. Z najnowszego numeru tej ambitnej prasy ściągnął folię, ale miał nadzieję, że nie powstrzyma to jakiegoś napalanego staruszka przed kupnem gazety. Po pierwszym dniu, a właściwie nocy, nauczył się, że o tej porze przychodzili tu głównie już pijanie ludzie, wracający z jakichś imprez, czy barów, aby nawalić się bardziej. Byli też tacy, którym się poszczęściło i kupowali prezerwatywy. Wracający późno z pracy przychodzili zaś do sklepu w poszukiwaniu szybkiego, a przy tym zwykle niezdrowego posiłku.

– Sam Photoshop – ocenił po przeglądnięciu rozkładówki. – I sztuczne cycki. Usta też jakieś napompowane. Normalnie jak u glonojada. A później dzieciaki będą miały problemy, jak zobaczą wreszcie prawdziwą babę. Nagle okaże się, że rzeczywistość jednak wygląda inaczej i Anakonda zawiedzie.

Gadał sam do siebie, bo w tej budzie nie było nawet Wi-fi. Na monitorach pod ladą widział zaś tylko obrazy z kamer obserwujących część samoobsługową sklepu. Na razie nie było żadnych klientów. Mama kategorycznie zabroniła mu sprzedawać nieletnim alkoholu i papierosów. On tam nie widział problemu i tak przecież wszyscy pili, ale podobno kontrole były bardzo często. To śmieszne, pomyślał Johnny, że aby w tym kraju kupić sobie broń wystarczy mieć szesnaście lat, a browara sprzedadzą ci dopiero, gdy skończysz dwadzieścia jeden.

Dzieciaki do sprzedania im alkoholu próbowały przekonać go na trzy sposoby: prośbą, groźbą lub przekupstwem. Niestety żaden na niego nie działał. Był grzecznym dzieckiem i słuchał mamy. Nie chciał też zostać bez obiadu. Odłożył gazetę na półkę pod ladą, bo oto do sklepu weszła trzyosobowa grupa przedstawicieli młodego pokolenia. To może być interesujące, przeszło mu przez myśl.

Najniższy, zblazowany typek o zaczesanych na bok i farbowanych na blond włosach wszedł do sklepu z zapalonym w gębie papierosem, pomimo wiszącej na drzwiach plakietce z zakazem. W każdym z uszu miał po kilka kolczyków. Chociaż wyglądał najbardziej niepozornie z całej trójki, no oko Johnny'ego to on był tutaj szefem. Za nim szedł trochę wyższy chłopak w dreadach związanych w kucyk i okularami na pół twarzy w czerwonych ramkach. Jaki alternatywny, prychnął w myślach Johnny, obserwując małolatów zza lady. Ostatni licealista i jednocześnie najwyższy z trójki wyglądał najnormalniej z całej grupy. Krótkie, czarne włosy miał postawione lekko do góry, a jego skóra była ciemniejszej karnacji. W górnej części lewego ucha miał pojedynczy, okrągły kolczyk.

Gówniaki wyglądały Johnny'emu na takich, którzy uważają się za sprytnych. Takich, którzy handlują trawskiem w szkole. Spryciarzy Johnny lubił najbardziej. Kochał ich temperować.